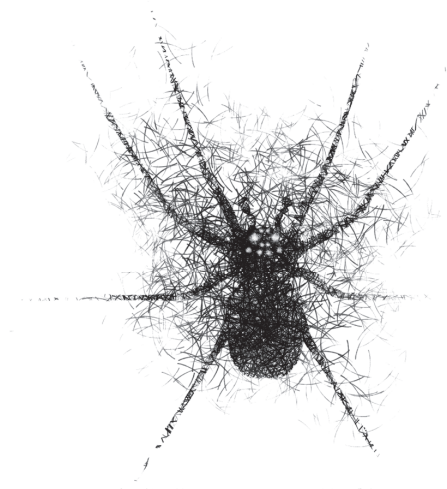


OLGA
NIZIOŁEK



DZIECI
JEDNEJ
PAJĘCZYCY



powergraph

Warszawa 2024

Copyright © 2024 by Olga Niziołek
Copyright © 2024 by Powergraph
Copyright © 2024 for the cover by Jan Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktorka prowadząca: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Elżbieta Żukowska
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Jan Kosik
Projekt graficzny i opracowanie wnętrza: Rafał Kosik

Wyłączy dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-67845-60-1

Druk: Abedik Sp.j.
Printed in Poland, EU

„my baby saw the future
she doesn't wanna live there anymore”

David Byrne

Nie cierpieli. Nie zdążyli. Wszystko rozegrało się momentalnie: ledwo robotnicy opuścili rurę z rozpuszczalnikiem, mętna rzeka, płynąca wybetonowanym korytem, stanęła w płomieniach. Potem mówiło się, że to musiał być sabotaż. Albo że eksperymenty na ściekach tej fabryki mógł zatwierdzić tylko jakiś niekompetentny pojeb. Tak czy inaczej, dwoje ludzi, którzy podpisali te papiery, zaprojektowali tę rurę i zlecili odpowiednie prace, też zginęło, jeszcze zanim nad miastem uniósł się kłęb dymu, a spod powierzchni zaczęły się wydobywać toksyczne siarkowe bąble, które zetknęły się z płomieniami w wybuchu. Eksplozja zabiła pozostałe dwadzieścia jeden osób i okaleczyła stojącą dalej siódmkę.

Można to było oglądać na kamerach monitoringu, nielegalne nagrania natychmiast rozpełzły się po sieci.

Koszty pożaru dzieliły się na materialne i niematerialne.

Materialne, bo para inżynierów osierociła dziecko. Dziecko dostało pieniądze. Dużo więcej, niż potrzebowało, i akurat tyle, żeby zatkać mu usta. Rodziny pozostałych też na tym zarobiły.

Gorsze było to, że popularność nagrań – zamiast wygasnąć po paru tygodniach jak pokazany na nich pożar – przeszła w coś innego. Cichy, tłący się bunt. Napisy namazane sprayem na murze. Artykuły w drugiej Sieci. Grupki dzieciaków używające słów „dyktator”, „system”, „bunt”. Nic, czego nie dałoby się naprawić – ale jednak kosztowne.

Ostatecznie rzekę zabudowali, popłynęła betonowym sarkofagiem.

AMELIA

Trzeba być bardzo szczególnym człowiekiem, żeby dobrowolnie hodować pająki. Większość z nas wyrzuca je przez okno, jak nakazano w dawnych pismach. Udajemy, że rozgrzany beton, na który spadają z ósmego, dziesiątego, dwudziestego trzeciego piętra, jest jak bujne łąki. Albo po prostu o tym nie myślimy. Kiedy pająki wchodzą w naszą przestrzeń, czujemy mieszaninę uniesienia, niepewności i przymusu działania. Być może to właśnie dobrze widziana bogobojność.

Im bliżej ziemi się mieszka, tym gorzej, bo tym cieplej. Ale i tym taniej. Mało kto już żyje w takich miejscach jak nasze drugie piętro. Matka mówi, że skoro tu mieszkała jej matka i jej babka, i jeszcze matka i babka tamtej, to i ja mogę. Mogę, ani słowem się nie sprzeciwiam. Kiedyś w takich miejscach rosła trawa, widziałam na starych zdjęciach. Wtedy nawet palenisko w domu miało sens, bo ludziom zdarzało się marznąć. Teraz trzymamy w nim garnki, ojciec nie potrafi się zebrać, żeby zrobić szafkę. Przed blokiem ustawiamy plastikowe pojemniki na deszczówkę, której nie ma.

Matka mówi, że mogę sobie marzyć o wyższych piętrach, ale żebym zabrała się do roboty. Takie gadanie dla gadania. Doskonale wie, że pracuję, poza tym nie marzę, bo nie ma to najmniejszego sensu. Znikam na całe dnie, wracam po zmroku, kiedy moje siostry już śpią. Kąpię się szybko – woda w sięgającym mi biodra baniaku jest zawsze letnia – i idę spać, a następnego ranka znów znikam. Kiedy kończę wcześniej, idę do centrum handlowego i siadam przy fontannie oddzielonej od ludzi szklaną szybą. Na wszelki wypadek noszę przy sobie sweter, bo tam jest klimatyzacja i czasem marznę.

Rozwożę pizzę na skuterze. To dobra, pewna robota i można poznać miasto. Szef mnie przyjął, bo jestem szybka, nie mam problemu z jazdą pod prąd czy skręcaniem sobie drogi przez chodnik. No, a poza tym nie bardzo mam dokąd iść, więc pewnie zostanę na dłużej, nie to co studenci, którzy dorabiają sobie przez parę miesięcy i znikają latem. Nieraz już takich widziałam.

— To działa w dwie strony — tłumaczył szef, kiedy przyjmował mnie do pracy. — My możemy liczyć na ciebie, ty możesz liczyć na nas. Ludzie muszą jeść, a pizza nigdy nie wychodzi z mody.

Mimo że układ wydaje się idealny, jako pierwsza idę do domu, gdy jest mało zamówień. Widać jestem tak godna zaufania, że nawet krótkie godziny mnie nie zniechęcą, czego nie można powiedzieć o studenciakach.

Szef ma na imię Tokio, a przynajmniej chce, żeby tak do niego mówić. Jego pizzeria nazywa się tak jak on sam. Mówi: Tokio to ja. Nie ma żony ani dzieci, a nawet gdyby było inaczej, nie znałby ich za dobrze, bo od rana do wieczora sterczy tutaj. Ma za to okrągłą twarz i okulary w złotej oprawce, a za nimi wiecznie zmrużone, utkwione w telefonie oczy – to on odbiera zamówienia i wysyła

mnie w drogę. Często oblizuje wargi, wygląda, jakby wiecznie był spragniony. Może jest.

Płaci słabo, ale mogę pić tyle słodkich napojów, ile zechcę, więc zawsze trzymam pod ręką butelkę. Nawet ciepłe są w porządku, mimo gęstości na chwilę gaszą pragnienie i można nimi zaspokoić głód. Moja matka uważa za cud to, że jeszcze umiem przejść przez drzwi, bo przy takiej diecie dawno powinnam nabrać wagi. Jakoś nie nabieram, tylko brzuch mam wydęty, ale co z tego? Może żarcie z miejskiej fabryki działa inaczej niż to dawne. Nie wiem, jak je produkują – *nowoczesne technologie minimalizują zużycie wody* – i w sumie to lepiej.

MARK

Mark jest mężczyzną spełnionym, wysoko postawionym politykiem. Człowiekiem stąd, z tej ziemi, który doprowadzi do zakończenia kryzysu i powiedzie swą gromadkę ku lepszej przyszłości. Będzie musiał podejmować niepopularne decyzje, trudne decyzje, decyzje dotyczące nas wszystkich, ale to wina jego poprzedników, a zarazem ofiara, jaką musimy ponieść. Wspólny wysiłek dla przyszłych pokoleń, naszych dzieci i wnuków, dzieci naszych wnuków. Dzieci to wszystko, co mamy. Miłość to wszystko, co mamy. Nie wolno nam nigdy o tym zapomnieć.

Mark lubi chłodne odcienie niebieskiego i poczucie, że sprowadza świat na właściwe tory. Czasem lubi też mówić o sobie w trzeciej osobie, jak teraz, gdy siedzi na brzegu łóżka śpiącej córeczki. Patrzy wtedy na całą sytuację z zewnątrz, obiektywnie, jakby obserwował nagranie czyjegoś życia. Wie, że zaraz musi wrócić do pracy, ale kradnie dla siebie jeszcze ten jeden moment w ciepłym, przygaszonym świetle lampki nocnej-kotka. Powieki małej lekko drgają, pewnie coś jej się śni. Przciska do

siebie ukochaną maskotkę – grubego, różowego kota. Zosia uwielbia kotki, to bardzo anachroniczne, ale co zrobić. Niech przytula chociaż pluszaka. Mark ma nadzieję, że nie męczą jej żadne koszmary. Zrobił już bardzo wiele, żeby miała spokojne sny, a przecież zrobiłby więcej. Mała mamrocze coś, przekręcając się na plecki. Mark delikatnie ociera jej czoło, głaszcze po włosach i naciska przycisk na głowie świecącego kotka. Zapada ciemność.

Mark idzie korytarzem, a beżowa wykładzina tłumi jego kroki. Zejdzie do kuchni, wyciągnie z lodówki kolejną puszkę napoju energetycznego, zmiesza – może nie zmiesza – jednak zmiesza jej zawartość z wódką z importu i zacznie przeglądać projekty, dzięki którym zapisze się w historii tego kraju.

Gdyby mógł, natychmiast wkroczyłby do głowy swojej córki i wymazał wszystkie te wizje, które tak ją męczą. Stałby na straży jej snów, chociaż teraz może jedynie zadbać o piękną przyszłość, w której ona nie zazna lęku. Mała kiedyś z tego wyrośnie i będzie się śmiała ze swoich dziecięcych wymysłów albo je zapomni. Właściwie nawet lepiej, żeby zapomniała.

Gdyby mógł, wywołałby w jej głowie lawinę, która raz na zawsze zasypałaby potwory, ale zamiast tego wraca do przeglądania planów zielonej transformacji. Nie musi się orientować w szczegółach, od tego ma ludzi. Musi nadać kierunek i wiedzieć, jak wygląda prawda. A wygląda tak, że istnieją pewne zagrożenia, ale on ma kontrolę nad sytuacją. Niebawem dostanie raport z rozwiązaniami, wystarczy, że każe je wdrożyć. Żelazna konsekwencja.

Mark panuje nad suszą.

AMELIA

Wszystko tu działa dzięki sieci, od pizzerii Tokio – „jesteśmy jak rodzina” – po system obserwacji mieszkańców i czujniki prognozujące pogodę. Tam, gdzie trzeba coś zrobić – głównie przemieścić przedmiot z jednego miejsca w drugie, usunąć coś z przestrzeni – wkraczają tacy jak ja. Przedłużenie sieci, jej fizyczne uzupełnienie. Jak rury miejskiej kanalizacji, ściany budynków, asfalt na parkingach.

Poznałam miasto, więc wiem, że beton nie kończy się nigdy. Zieleń jest w dzielnicach najbogatszych – w donicach, za ogrodzeniem – i w tych najgorszych, gdzie ulice zdążyły już popękać. W szczelinach betonu widać tam pożółkłe źdźbła. Ponoć dawniej takie rzeczy się zgłaszało, a odpowiednie służby naprawiały dziury. To było w czasach, kiedy ulice polewano wodą. Ale teraz, jak już tam trafiam, nie przyglądam się trawkom zbyt uważnie, bo w takich miejscach lepiej nie interesować się niczym poza własnymi sprawami. Jadę tamtędy, kiedy korki nie zostawiają mi wyboru – ale to znaczy, że musi być naprawdę słabo, bo złe miejsce jest dość daleko na obrzeżach.

Mówimy na nie „rezerwat”. Każdy wie, gdzie są jego granice, choć nikt ich nigdy nie wyznaczył. Dalej już tylko wysypiska i pustynia.

Mamy jeszcze sztuczną zieleń, plastikowy, miejscami wypłowiący mech, którym swego czasu oklejano wszystkie wiaty. Dla ozdoby. Mikrorurki, z których jest zbudowany, miały też zatrzymywać wilgoć i chłodzić najbliższe otoczenie, ale jakoś nie zauważyłam różnicy. Nie żebym jeździła autobusami. Nikt nie jeździ autobusami, a jeśli już ktoś to robi, bez wątpienia jest nikiem. Skuter stoi najniżej w hierarchii akceptowalnych środków lokomocji, co w praktyce oznacza, że wszędzie są ich setki, tysiące, że z perspektywy drona miasto jest morzem skuterów. Ja swój dostałam po starszej siostrze, kiedy wyszła za mąż i przestała go potrzebować. Pomalowałam otarcia błyszczącym lakierem do paznokci z drobkami brokatu, prawie ich nie widać.

Kiedy mamy dużo zamówień, Tokio każe mi pomagać kucharzowi. Nie lubię tego, bo w kuchni panuje upał, od cebuli łzawią mi oczy, a gość jest nielegalnym imigran-tem i nie da się z nim pogadać, uśmiecha się tylko i kiwa głową. Nie mam pojęcia, z jakiego piekła musiał przyjechać, skoro tak mu się tu podoba, i nie chcę go mieć. Chwała Bogini, że udało mi się wytłumaczyć Tokio jedno: klienci nie chcą patrzeć na spoconą, śmierdzącą kurierkę. Pizzę jada się raczej na średnich i wyższych piętrach, tam, gdzie liczy się estetyka. Cały ten biznes kręci się tylko dlatego, że Tokio załatwił sobie przydział świeżej wody, nie tej odzyskiwanej z miejskiej kanalizacji, która *podlega wielokrotnej filtracji i orzeźwia niczym górskie źródło*, a tak naprawdę wiecznie zachowuje delikatnie żółtawy odcień i dziwny posmak. Nie powinien z niej korzystać, bo to woda dla bogatych, ale widać ma znajomości.

No, i teraz kroję cebulę tylko wtedy, kiedy inaczej naprawdę się nie da. Chwilowo jest bardzo spokojnie, więc siedzę przy stoliku – nasze stoliki wiecznie wydają się lepkie, choć regularnie je przecieramy – popijam colę i myślę o wieczorze. Nie mam jak na razie planów.

Z kuchni wyjeżdżają cztery pudełka. Jeszcze nie prześląły od spodu tłuszczem.

— Trzy Pepperoni, jeden Sen Marynarza. Tylko dwa adresy. — Tokio wysłała mi zrzut z mapy.

Zeskakuję z krzesła i wkładam kask. Nie żebym przejmowała się przepisami, nikt tu nigdy nie dostał mandatu za takie rzeczy, ale nie lubię jeździć w słońcu z odkrytą głową. Kolor płowieje, a akurat robiłam sobie pasemka. Z rozjaśnianiem i farbowaniem jest trochę zabawy, zwłaszcza kiedy robi się to samej. Szkoda byłoby, gdyby moja jaskrawa zieleń zaczęła nagle wyglądać jak wysuszone, spłowiałe wodorosty w morzu czerni. A poza tym różowy kask pasuje do skutera.

Sen Marynarza to najgorszy wybór pod słońcem, ale koleś, który zamawia grube ciasto ze średnio świeżymi plasterkami ośmiorniczki polanymi ketchupem, nie zasługuje na litość. Mieszka niby nie najgorzej, wejścia pilnują ochroniarze – mnie nie zatrzymują; pudełka z pizzą są uniwersalną przepustką, ponieważ wiadomo, że ktoś na mnie czeka, nie przychodzę żebrać ani sprzedawać. Choć mieszkanie jest na dziewiątym piętrze, na klatce schodowej panuje półmrok, powietrze wydaje się zatęchłe, a klient prawie wrywa mi jedzenie z rąk. Ma tłuste, wilgotne dłonie, widzę odciski palców na pudełku. Życzę smacznego i ruszam dalej. Dupek nie dał mi żadnego napiwku. Płacę przez aplikację, wszystko idzie

prosto do Tokio, ale większość ludzi z górnych pięter ma dla mnie jakieś drobne. Najwyraźniej nie wielbiciele marynarzy.

Trzy Pepperoni. Z dodatkowym salami. To też nie brzmi za dobrze, jeśli mam być szczerą, ale okolica jest przyjemna, na podjeździe stoi nawet kilka donic z podwiedłymi palmami.

Dzwonię, ale nikt nie otwiera. Drugi raz, trzeci. Tokio pewnie już patrzy na zegarek. Zza drzwi dobiega niewyraźny głos. Nie rozróżniam słów, ale ton jest zniecierpliwiony, domyślam się, że powinnam po prostu wejść. Rzeczywiście, klamka ustępuje. Robię dwa kroki i znajduję się w przedziwnym miejscu.

Ogromne pomieszczenie jest chłodne. Oho, kogoś tu stać na klimę. Niewiele widzę, bo zasłony są zaciągnięte, wpada tylko światło z korytarza.

— Halo? Pizza! — Wyciągam przed siebie pudełko, jakbym chciała potwierdzić, że mam prawo tu być. Czuję, jak spod kasku cieknie mi strużka potu. W takich luksusowych warunkach zaraz wyschnie.

Nagle zalewa mnie zimne ledowe światło. Mrugam i powoli dociera do mnie to, co widzę. Terraria. Cała ściana terrariów. Czarne kształty roją się, ruszają, siedzą. Odwracam wzrok.

Trzeba być bardzo szczególnym człowiekiem, żeby dobrowolnie hodować pająki.

Chudy chłopak przygląda mi się z drugiego kąta pomieszczenia. Dalej trzyma rękę na przycisku włącznika.

— Przyniosłam pizzę. Trzy Pepperoni z podwójnym salami.

— Dzięki, możesz położyć tutaj.

Pokazuje blat z ciemnego kamienia. Podchodzę, starając się nie rozglądać na boki. Chłopak ma włosy równie ciemne jak ja, ale jest dużo bledszy i rozczochrany. Z jakiegoś powodu czuję do niego sympatię. Może dlatego że trzyma dystans i wydaje się czujny, jakby musiał się mnie strzec. Jeśli on ma się na baczności przede mną, nie muszę się go bać. Choć na napiwek pewnie też nie mam co liczyć.

— Smacznego. Myślałam, że zastanę tu całą imprezę, ale widocznie apetyt ci dopisuje — szczebioczę głosem zarezerwowanym dla klientów.

— To mi wystarczy na tydzień. Zamknęli mi najbliższą restaurację i sprawdzam, kto w okolicy ma coś jadalnego.

— Na tydzień?! Dostarczamy codziennie, nie wolisz świeżej? — Chyba na za dużo sobie pozwalałam. Tak się z klientami nie rozmawia. Ale już za późno.

— Może. Rzeczywiście dużo tego. — Wzrusza ramionami, otwiera usta, jakby coś chciał powiedzieć, jednak tego nie robi.

— To... jeszcze raz smacznego.

Czas na mnie. Obracam się i już jestem w drzwiach, kiedy dochodzą do mnie ostatnie słowa.

— Jakbyś chciała wpaść na kawałek, to śmiało.

— Dzięki, ale pracuję do późna.

— Nie będę spał. Zapraszam. Jakby co.

Zbiegam po schodach, zakładając kask i maseczkę, która choć trochę uchroni mnie przed kurzem. Do zobaczenia nigdy, dziwny człowieku. Wyobrażam sobie, jak karmi swoje pająki, jak wrzuca plasterki salami do kolejnych terrariów.

A potem wracam do pizzerii, w której panuje zupełna cisza.

— Dziś już nie ma co robić, ruch mały, poradzimy sobie bez ciebie. Widzimy się jutro — rzuca Tokio.

Ostentacyjnie wyciągam z lodówki różową grejpfrutową kostkę i wychodzę. Jest środek dnia, od dawna nie miałam wolnego tak wcześnie, i zastanawiam się, co robić. Mogłabym iść do galerii, ale samej to żadna zabawa, a o tej porze wszyscy znajomi są jeszcze zajęci. Nie mam najmniejszej ochoty na powrót do domu ani na jazdę rozpalonymi ulicami, to byłoby znośne dopiero późnym wieczorem.

Koleś wydaje się zdziwiony, gdy staję w drzwiach jego mieszkania.

— Nie miałas pracować do późna?

— Słaby dzień. Mało zamówień, szef dał mi wolne. To co, oferta aktualna?

Cofa się o krok i wpuszcza mnie do środka.

— Kyoro.

— Tak masz na imię?

— Tego imienia używam. Podgrzać ci?

Jedno otwarte pudełko leży dalej na blacie, dwa gdzieś zniknęły.

Z ulgą zauważam, że salami jest tam, gdzie rozrzucił je kucharz, więc nie będę dzieliła pizzy z pajakami, a cała ta historia o creepie roku, dziwnym zamówieniu i odjechanych akcjach działa się tylko w mojej głowie. Dobrze. Zastanawiam się, co jeszcze dzieje się tylko w mojej głowie, bo wiem na pewno, że upał i duchota istnieją obiektywnie i narastają. Matka mówi, że nie, że tak było zawsze, ale akurat w to jej nie uwierzę.

MARK, ZOSIA

Mark sący zielony, zdrowy sok. Kofeinę już łyknął.

— Zjedz śniadanko, będziesz miała siłę się bawić —
mówi bez przekonania.

Zosia jak co dzień ma podkrążone oczy. Położyła głowę na rękach, apatycznie patrzy na miseczkę z płatkami. Pewnie pójdzie do przedszkola na czczo, jak wczoraj i przedwczoraj.

Mark uczesał ją już i ubrał w ulubioną różową spódniczkę i bluzeczkę z tęczowym jednoróżcem, wizję szczęśliwego, beztroskiego dzieciństwa z bajki. Za jakieś piętnaście minut naprawdę muszą wyjść, bo Mark spóźnień nie uznaje. Ma standardy. Poranek jest wyłącznie dla Zosi – to nie podlega dyskusji, bo Mark doskonale wie, że są rzeczy ważne i ważniejsze, a jeśli potrafi zadbać o małą, potrafi zrobić wszystko – za to potem żyje już tylko dla swoich wyborców. Zawsze czujny, zawsze wpatrzony w przyszłość. Daje przykład podwładnym, bo kto, jak nie on? A oni patrzą w niego jak w obrazek, zwłaszcza wianuszek stażystów okupujących biuro i uczących się, jak to wszystko powinno wyglądać.

— Nie chcę.

Mark zaciska zęby, uspokaja się, to tylko dziecko. To nie tak, że specjalnie robi mu na złość, nie. Mała po prostu tęskni za mamusią, która wypięła się na nich oboje, kiedy najbardziej jej potrzebowali, i w samym środku politycznego kotła uciekła za granicę z kochankiem. Kto wie, czy nie zrobiła tego specjalnie, czy nie czekała na ten moment. Zosia nie ma pojęcia o tej zdradzie, a nawet gdyby miała, nic by jej to nie obeszło. Świat jej ojca jest światem stabilnym i zrównoważonym. Walki o władzę? Frakcje? Nie ma żadnych walk o władzę, nie u Marka, bo on trzyma standardy – romanse, kierowanie się najniższymi popędami u niego nie przejdą. W świecie Zosi za to liczy się zabawka i bajka na dobranoc, a z jakiegoś powodu zabawki i bajki od Marka, choć przyjmowane, wcale nie cieszą jej tak bardzo. Zosia ma po tamtej kolor włosów i oczu, no i upór, z jakim właśnie powtarza:

— Nie chcę. To jest wstrętne.

Szkoda, że nie walnie jeszcze pięścią w stół i nie rzuci jakimś bluzgiem, skoro tak samo jak Iwona nie daje sobie przemówić do rozumu.

Mark mimowolnie przypomina sobie tamtą scenę, potargane włosy byłej już teraz żony i to, jak brzydko trzęsła jej się broda. Płakała, kiedy przypominał jej, że przysięgali, że porzucą nie tylko jego, ale i własne dziecko, a do tego cały naród. Siedzieli przy tym samym stole, na którym płatki rozmakają teraz smętnie w miseczce. Mark mówił wtedy długo, przywoływał podstawowe wartości, na które oboje przysięgali. Rodzina. Honor. Wierność. Wydawało się, że go słucha. A potem wstała i sięgnęła po torebkę.